NA SZLAKU »KRESOWEJ«

Wydaje Referat Propagandy i Kultury Dywizji Kresowej

Nr.15-16. 15.XI-1.XII.1944

W I L N O

Gdy w roku 1918 - 1919 Wilno znalazło się w rękach bolszewików, dzieliło mnie od niego 300 kilometrów i siły niemieckie i bolszewickie. Miasto mego dzieciństwa; kocham je i tęsknię doń całymi latami; los Wilna - to był we mnie ten węzeł psychiczny i mus, który ciągnął koniecznością. Na wielkim ekranie duszy dalekie Wilno malowało się różową plamą, na północ od wielkiej czerwonej plamy - walczącego Lwowa, gdzie mus nakazywał posłać posiłki.

Jesteśmy w styczniu 1919 roku. Nie zatrzymując się we wszystkich szczegółach pieniowniej, zacznę, że z jednej strony musiałem się zajmować jako Naczelny Wódz działaniami wojennymi pod Lwowem, i tam było zaangażowane cztery piąte mojej duszy i cztery piąte siły mojej armii. Wilno jednak nie dawało mi o sobie zapomnieć. Było jakby konkurencją między Wilnem, a Lwowem, ale to nie mogło zajmować mego umysłu, była to walka uczuć, nie pojęć jako wodza, pojęć realnych. Z jednej strony siedziała uczuć i wspomnień w stosunku do dalekiego i niepewnego Wilna, z drugiej twarda rzeczywistość, wołająca pod Lwów.

Dnia 19-go kwietnia jestem w Lidzie. Wszystko w porządku: tor naprawiony, łączniki utrzymane, robota sprawozna. Obiaduję właśnie u Suwalczan, święcących swe zwycięstwa, aż wpada ostatkiem tchu oficer od Beliny: "Wilno wzięte!" Wilno, ukochane miasto, jest moje!... Moje koncepcje, moje dzieło, - żyje, staje się jawne, idzie. Do żadnego miasta zdobytego przeze mnie, nie wjeżdżałem z takim uczuciem, jak do Wilna.

Józef Piłsudski

"Wilki" nokautują Kły

Zaczęło się to w nocy z 17 na 18 października. Korpus Polski wszedł na nowy odcinek w środkowej części frontu włoskiego, luzując oddziały brytyjskie.

Nowy odcinek był bardzo ciężki. Wysokie góry, przepaście, karkołomne serpentyny, ulewne deszcze, błoto. Jedyną główną drogę, jaka biegła przełęczami i dolinami Apeninu zamknęli Niemcy, umacniając się na szczytach górskich w rejonie miasteczka S.Sofia. Korpus miał uderzyć na stanowiska niemieckie, przełamać ich opór, otworzyć sobie drogę na północ w kierunku Sofia, Galeata, Predapio i zepchnąć Niemców z gór w szeroką dolinę rzeki Padu. Akcję rozpoczęły oddziały dywizji Kresowej - bataliony "Wilków", "Rysiów" i "Żbików".

Późnym wieczorem kolumna szybkich, zwinnych łazików przerzuciła jedną z kompanii "Wilków" na podstawę wyjściową. Stąd kompania miała nocnym wypadem zaskoczyć Niemców, którzy bronili się dotąd na grzbietach, zamykających drogę do Sofii. Do kompanii dołączono oddział partyzantów włoskich, bijących się już od szeregu tygodni w górach z pojedyńczymi patrolami i oddziałkami niemieckimi. Trzeba było obejść górskimi bezdrożami, wertepami, stromymi urwiskami i wejść na tyły nieprzyjaciela. Zadanie było trudne i wymagało ogromnego napięcia, twardego wysiłku fizycznego i żelaznej wytrzymałości. Ale żołnierze uśmiechali się.

Było w tym zadaniu coś, co budziło chwilami krótki, mocny, chłodny dreszcz emocji. Przypominały się jakieś dalekie już w przestrzeni i czasie harcerskie podchody, odżywały wspomnienia o indiańskich ścieżkach, przez rozśpiewane puszcze i dzikie kaniony powieści Coopera, o zbaraskich wycieczkach...

Ale to trwało krótko. Góry rysujące się w ciemności ledwo-widocznym konturem, były twarde, groźne, milczące. Na górach siedzieli Niemcy i to było tylko ważne w tej chwili. W drzewach szeleścił drobny, dokuczliwy deszcz. Noc była zimna i przesiąknięta wilgocią. W górach wisiały gęste, lepkie mgły.

Kompania ruszyła naprzód, prowadząc ze sobą kilka mułów z cięższym sprzętem. Szło się bezdrożami, w nieprzeniknionej ciemności, w deszczu i błocie. Kto był w górach i szedł kiedyś nocą na przełaj po nieznanym terenie, wie, ile wysiłku, upartego, mocnego wysiłku kosztuje ta droga. Ile poślizgnięć, upadków, bolesnych uderzeń. A gdy do tego trzeba dźwigać broń, etatowy zapas amunicji i prowiant, gdy przed oczami wisi mgła i czarna, nieznana noc, a po twarzy bije zimny, ostry deszcz, gdy nogi ślizgają się na kamieniach, lub grzęzną w kleistym błocie, a w skroniach wali zmęczone tętno - to naprawdę nie jest łatwe. Trzeba było nieraz zacisnąć mocno szczęki, stanąć na sekundę, by chwycić w zdyszane piersi wilgoć powietrza, a potem wyprostować się, otrzeć mokrą twarz rękawem szorstkiego battle-dress'u i iść dalej. I kompania szła. Szła nawet szybciej, niż można było tego się spodziewać.

O drugiej w nocy napotkano wreszcie na przeszkodę. Było to w rejonie San Martino. Rzeka Bidente, spadając z gór była wezbrana ostatnimi ulewnymi deszczami i rwała teraz w doliny huczące i pieniące się na przybrzeżnych głazach. Lodowata woda sięgała wyżej piersi, a miejscami, gdy natrafiono na doły w dnie wyrwanym bystrym prądem - zakrywała zupełnie. Kilku - co śmielszych - rozbiera się i płynie. Prąd wody porywa im zawiniątka z ubraniami. Ktoś zaczyna się topić, potem drugi, trzeci. Muły porwała woda, rzuciła w nurt, przykryła. Ludzi jednak uratowano.

O świcie zmęczona, przemoczona do suchej nitki i przemarznięta kompania wyszła na tyły Niemców na K.Fontanina. Trzeba było posuwać się bardzo ostrożnie, gdyż całe przedpole było zaminowane. W powietrzu wisiała mgła, tak gęsta, że nie było nic widać w odległości kilku kroków.

Powoli zaczęło się rozwid-

niać. W dole leżało miasto, z którego Niemcy rozpoczęli wycofywanie się, okrążeni z prawej i lewej strony przez nacierające baony "Rysiów" i "Żbików". Dowódca kompanii, kpt.S., zabiera partyzantów włoskich i schodzi do miasta. Przebrani po cywilnemu Niemcy zakładali jeszcze na brodzie miny. Ze wzgórz zjechały serpentynami carriery i czołgi, przeszły przez bród minęły miasto i ruszyły za ustępującym nieprzyjacielem.

Około 9 rano kompania niemiecka, która siedziała na Monte Fontanina, zaczęła wycofywać się i wpadła na kompanię "Wilków". Walka trwała krótko. Niemcy rozpoczęli ucieczkę, rozbijając się na dwie grupy. Jednej udało się ukryć w jarach i wąwozach, druga natomiast dostała się w całości do niewoli.

Kompania schodzi do miasta i idzie ulicami posuwając się wolno od domu do domu, gdyż Niemcy kładą na miasto silny ogień moździerzy i artylerii. Na wzgórzach, za miastem, oddziały nasze zatrzymują się. Niemcy stawiają zaciekły opór. Droga jest zaminowana, czołgi i carriery nie mogą posuwać się dalej. Ruszają więc do przodu saperzy i pod ogniem rozminowują drogę.

Kompania "Wilków" poszła grzbietami wzdłuż drogi do Galeaty. Opór nieprzyjaciela nie słabł. Moździerze i Spandau'y biły po szosie i grzbietach górskich, chcąc za wszelką cenę sparaliżować ruch oddziałów polskich i zmusić je do zatrzymania się. Z pomocą przychodzą pozostałe kompanie "Wilków", wychodzą na szczyty gór na płn.-zachód od miasta i zrzucają Niemców z grzbietów, likwidując po drodze poszczególne gniazda oporu.

Kompania kpt.S. dostaje nagle od czoła gwałtowny ogień z 3 spandau'ów. Niemcy przepuścili szpicę i otworzyli ogień z odległości prawie 30 metrów. Wali się na ziemię 5 ludzi. Podchorąży ma 4 razy przestrzelone płuca. Inni również dostali po kilka pocisków. Kapitan przywarł z kompanią do ziemi. Nie można nawet lekko się unieść, poprawić niewygodnej pozycji, odwrócić. Serie trzeszczą nad głową, pryska ziemia, jęczą rykoszety. Dopiero jeden z młodych podporuczników podciąga z boku swój pluton, oskrzydla Niemców i wiąże ich bocznym ogniem. Spandau'y milkną....

Będąc w nieustannej walce, kompania opanowała po południu Monte Altaccio i uderzyła na Monte Spino. Szczyt zostaje zdobyty.

Jesienny, pochmurny wieczór zapadł szybko. Dowódca kompanii zostawia na noc jeden pluton na szczycie, a z resztą kompanii schodzi niżej w rejon zabudowań. Nagle gdzieś w dole, bardziej z boku, wybuchają urywane strzały, pryska w niebo kilka rakiet, słychać okrzyki. W tym samym czasie 6 żołnierzy z kapralem dochodzi do zabudowań. W podwórzu kręci się jakiś człowiek w szarym płaszczu.

- Tedescho o Italiano? - pyta kapral. Tamten podnosi głowę i patrzy przez chwilę uważnie na kaprala i żołnierzy. W tej chwili kapral poznaje płaszcz koloru "feldgrau" i podnosi thompsona.

- Jestem Polak - odpowiada nagle żołnierz niemiecki.

Kapral wskakuje do budynku.

- Hände hoch! - Sześciu prze-

Odpoczynek w drodze na stanowiska

rażonych Niemców nieruchomieje w miejscu i podnosi w górę ręce.

Tymczasem na podwórzu podbiega do kapitana S. partyzant włoski, prosząc o pomoc. Oddział ich miał starcie z Niemcami, którzy bronią się w domku poniżej. Jest tam kilku żołnierzy wraz z oficerem. Kapitan wysyła porucznika z kilkoma żołnierzami i jeńca-Polaka, jako parlamentariusza. Ten wchodzi wolno w podwórze bronione przez Niemców, wołając przez cały czas: "Nicht schüssen". W domu jest oficer niemiecki. Na widok wchodzącego chwyta karabin i podnosi do ramienia. Chwila jest krytyczna. Jeniec woła do niego, aby nie strzelał, bo wówczas zostaną rozstrzelani oficerowie niemieccy, którzy dostali się wieczorem do niewoli polskiej. Niemiec opuszcza karabin i krzycząc: "Alarm","Alarm" wypada z domu. Żołnierze niemieccy, ukryci w podwórzu biegną za nim. W ciemności wybłyskują czerwone ogniki karabinowych strzałów. Niemcy uciekają po zboczu i gubią się w nocnym mroku...

Następny dzień nie przynosi większych zmian. Kompania "Wilków" umacnia się na zdobytym szczycie, mając doskonały wgląd na m.Strada, obsadzone jeszcze przez nieprzyjaciela. Artyleria własna kładła bez przerwy ogień na miasteczko i szosę.

Górami szedł huk dział, ziemia dygotała od wybuchów.

Na zachodnim stoku Monte Spino siedział st.strz. K. z erkaemem, jako ubezpieczenie boczne kompanii. Na przedpolu był spokój. W pewnej chwili zdawało mu się, że uchwycił jakiś ruch przed sobą. Przyciągnął tylko mocniej rkm. i czekał. W odległości 200 metrów poruszył się nagle człowiek. Podniósł się, zrzucił siatkę maskowniczą i wyprostował się, patrząc uważnie przed siebie. Po chwili doszło do niego 12 żołnierzy niemieckich i ruszyli razem wprost na stanowisko st.strz.M. Jeszcze raz zatrzymali się na moment, rozglądając się wokoło. Starszemu strzelcowi M. wali serce, ale czeka, czeka spokojnie. Jeszcze 150 metrów...jeszcze 100...80... 50...Nie może dłużej wytrzymać. Pakuje w Niemców 2 pełne magazynki. Cztery ciała zostają na ziemi, reszta ucieka i kryje się za budynkiem. Po chwili zza węgła macha ktoś białą flagą z czerwonym krzyżem. St.strz.M. mówi koledze, aby dał znak tamtym, że mogą zabitych zabrać. Sam nie chce zdradzać swego stanowiska. I oto 2-ch sanitariuszy niemieckich cztery razy defiluje z noszami przed lufą jego karabinu...

W nocy Niemcy opuścili Strada. Nad ranem dwa plutony kompanii "Wilków" weszły do miasteczka z zadaniem uchwycenia mostu. Niemcy zdążyli go jednak wysadzić w powietrze niemal w chwili, gdy oddział dobiegał do mostu. Krótki, raptowny błysk i w sekundę później straszliwa detonacja wstrząsa powietrzem. Lecą w górę kamienie, ziemia, drzewo, walą się na bruk okiennice pobliskich domów i pękają z trzaskiem i brzękiem szyb. Żołnierze mówili potem, że tak chyba wyglądać będzie koniec świata...

wysunięty punkt obserwacyjny.

Kompania forsuje Strada, S.Zeno i tworzy na przeciwległym brzegu mały przyczółek. Niemcy biją po nich ze wzgórz wszystkimi środkami ognia. Straszliwe nawały ciężkich moździerzy kładą się raz po raz na budynki, które trzyma kompania. Ogień jest morderczy, druzgocący, wściekły. Ale "Wilki" trzymają się mocno i odgryzają się nie gorzej, zwłaszcza kiedy dostają wsparcie plutonu ciężkich

moździerzy. St.strz.M. siedział na stanowisku ze swym kaemem przez 24 godziny, pod największymi nawałami ognia i nie chciał nawet słyszeć o zmianie. A takich jak on - było więcej. Prawdziwe "Wilki"!

Przyczółek został utrzymany. Przyszedł potem na pomoc batalion "Rysiów" i zepchnął Niemców na dalsze wzgórza, rozszerzając i umacniając przyczółek, który dał nazajutrz podstawę do działania Brygadzie Lwowskiej. Ta weszła do akcji świeżymi siłami i uderzyła na linie obronne Niemców w rejonie Monte Collombo, spychając ich na niższe wzgórza, opadające już w dolinę Padu.

"Wilki" jeszcze raz pokazały Niemcom swoje ostre, szybkie, zuchwałe kły. Pokazały, jak potrafią kąsać... Do krwi. Śmiertelnie.

J.W.

Podhoryzym

Wychodzimy z Przeszłości. Z jesiennych półmroków.
Na chmurach krew. Wiatr szumi, wzywa do odwetu!
Idziemy przez Belweder. W rytmie młodych kroków
wybucha Warszawianka. Lśnią ostrza bagnetów.

Idziemy przez pachnącą prochami Olszynę,
przez puszcze śpiewnych sosen w śnieżystej draperii,
pod bramami szubienic, przez białe pustynie -
idziemy z brzękiem kajdan przez tajgi Syberii.

Idziemy z Oleandrów w jasny dzień sierpniowy,
gdy słońce nam - jak wolność - na niebo wybłyska,
gdy nocą łuna wojny wykwita nad głowy,
gdy bije w Europę pierwszy polski wystrzał!

Idziemy znów przez chmurny, szalony Listopad -
kołysany wolnością w wniebowziętych drzewach -
co chmurą złotych liści na oczy nam opadł
i rozhuczał się w sercach dzwoniącą ulewą.

Idziemy przez Warszawę, przez tłumne ulice,
w Alejach stoją drzewa o niebo oparte...
Idziemy werblem kroków, by w którąś rocznicę
zaciągnąć w Belwederze honorową wartę.

Idziemy poprzez Wrzesień, poprzez rzeki krwawe,
pod niebem przeoranym i pożarem słońca...
Przez zgliszcza i popioły. Gruzy i cmentarze.
Idziemy przez granice - by walczyć do końca!

Idziemy przez strzaskaną linię Maginota,
przez Dunkierkę i Szkocję, przez fiordy Norwegii,
przez Pustynię Libijską, nadamurskie błota,
przez więzienia i druty... przez noce tragedii...
- -

Musimy dojść. Przez lądy, przez morza, na przełaj,
"po obcych słać się drogach, walić w cudze rowy"...
Bo przestrzeń gra nam ciągle: "Jeszcze nie zginęła" -
a serca walą równy, twardy krok marszowy!

Janusz Wedow